POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 16 SIERPNIA 1930 ROKU NR. 33

ANDRZEJ STRUG

26)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Na dworcu w Spa czekał nań pułkownik von Voss. Dzielny żołnierz wychudł i znędzniał, poraz ostatni widzieli się przed półrokiem, a teraz wydało się profesorowi, że postarzał o lat dwadzieścia. — Zdrowie? Owszem, jako tako. Ale czasy straszliwie ciężkie. Niemcy są w matni. Praca ponad siły rozumu ludzkiego. Takie natężenie woli, taki ciężar odpowiedzialności... A tu rwie się wszystko. Kruszą się nawet ludzie z żelaza. Jeżeli w ciągu najbliższych miesięcy nie nastąpi rozstrzygnięcie, to już nie podołamy. Czas! Czas, drogi profesorze, staje wpoprzek niemieckim nadziejom. Czynimy teraz wysiłek, godny tytanów, gromadzimy całą moc, wszystwie zasoby, cały genjusz niemiecki. Rzucamy na szalę krew najmłodszych i najstarszych naszych roczników — ostatnią krew narodu. Stawiamy wszystko na jedną kartę... I daj Bóg...

Profesor słuchał i z grozy tych słów budziło się w nim uniesienie. Jeżeli jest aż tak źle, to tembardziej muszą go nareszcie posłuchać. Wielki Wager odmieni wszystko. Jeszcze czas. Na szerokim obcym świecie pokolenia będą przeklinać jego imię, ale Niemcy wprowadzą je do panteonu, jako wieczyste imię święte. W tej chwili profesor wierzył, wierzył w moc swego cudu. Przekona najoporniejszych sceptyków, najbardziej zakamieniałych biurokratów wojskowych. A przecie Ludendorff jest człowiekiem wielkim i w lot zrozumie jego ideę. Przecie jest potężnym władcą i rozkazu jego słuchają wszyscy — sześćdziesiąt miljonów Niemców!

— Jego Ekscelencję pierwszego generałkwatermistrza uprzedziłem jaknajprzychylniej, zresztą samo imię pana profesora... Ale proszę go przekonać! Proszę w razie potrzeby mówić mocno! Ludzie naczelni miewają swoje dziwactwa, upory. My, żołnierze, nie możemy nastawać, napierać na naszą najwyższą władzę. Pan jest człowiekiem wolnym i gdy on podniesie głos, pan ma prawo krzyczeć! W razie potrzeby niech mu pan powie, iż w broni chemicznej pan właśnie jest Ludendorffem, a on — niczem. Że jego eksperci i generałowie gazowi są fuszerami wobec wielkiego Wagera. Niech się pan domaga nadzwyczajnych pełnomocnictw, inaczej zje pana kamarylla Głównej Kwatery.

... Wytworny biały pałacyk, stare drzewa, kilkadziesiąt uszeregowanych samochodów, na łączce, w parku baterje przeciwlotnicze z obsługą w pełnem pogotowiu, straż honorowa w hełmach...

Więc to jest owo miejsce tajemne, Olimp niemiecki w chmurach, warownia mocy uzbrojonego narodu, ognisko jego myśli i woli, tu jest skupiony cały genjusz rasy... W tym białym domku ważą się losy wojny, losy świata... Profesor był głęboko wzruszony, wstępując po kamiennych stopniach na taras willi, jak gdyby wkraczał w dziedzinę fantastyczną, w której króluje myt.

W obszernej poczekalni, gdzie na marmurowym kominku odbijało się w lustrze popiersie króla Alberta, zachowane po rycersku na dawnem miejscu, oczekiwało kilkunastu generałów. Stali w grupach pod wielkiemi oknami, wychodzącemi na park, każdy ze swoją teką pod pachą. Prowadzili przyciszone rozmowy, a przeważnie stali w skupionem milczeniu, w pogotowiu. Coraz to któryś z nich nerwowym ruchem podnosił do oczu lewą rękę, na której miał zegarek polowy. Twarze były blade, oczy niewyspane i niespokojne. Wszyscy byli sztywni, jak nieobyci, jakby czemś zakłopotani czy wystraszeni. Pułkownik von Voss posadził profesora w fotelu, poczęstował go papierosem i znikł za ciemną kotarą, osłaniającą drzwi do dalszych apartamentów. Profesor rozglądał się dyskretnie. Co chwila za oknami warczał samochód i co chwila do salonu wchodził ktoś nowy. Poczekalnia zapełniała się. Z za kotary ukazał się młody wyświeżony kapitan i z wojskowem szastaniem się przedstawił się profesorowi. On pierwszy tu odezwał się głośno i tem zburzył urok tajemniczości i skupienia. Pokręcił się wśród przybyłych, odnotowując sobie coś na papierku, gadał, roześmiał się ze trzy razy i znikł.

Profesora onieśmielało to, że on siedzi sam jeden ze wszystkich i że on jeden w tym pokoju pali. Powstał, podszedł do kominka i cisnął w ogień niedopalonego papierosa. Już nie siadał z powrotem, stał i czuł się coraz niezręczniej. Ci oficerowie, zapewne wezwani z frontu, stojący tu sznurem w milczeniu, dawali mu przedsmak ogromu tej władzy najwyższej, która przebywała za ciemną kotarą. Za chwilę nadejdzie godzina trzynasta minut piętnaście, wyznaczona mu na audjencję. Czy, gdy stanie przed dzierżycielem losów wojny, zachowa należytą sprawność myślenia, czy zdoła argumentować jasno i dobitnie, a cóż dopiero bronić swojej tezy, a więc walczyć? Profesor nie był człowiekiem nieśmiałym, ale środowisko, w którem się znalazł, wyglądało mu szczególnie obco. Dlaczego żaden z tych panów nie ośmieli się usiąść? Czy to etykieta wojskowa, czy serwilizm? Czyż będą tak stali i stali przez cały czas jego audjencji? Profesor spodziewał się był jakichś dwuch godzin, pułkownik von Voss roześmiał się tylko na to, ale dodał, że jeżeli profesor zdoła zainteresować Ekscelencję, to będzie miał dość cza-

su na zasadnicze wypowiedzenie się. Dręczyli go ci panowie z frontu. Będą tu sterczeli, będą wisieli nad nim, czyhając na jego czas, licząc mu minuty. Jakże tu rozwinąć kolosalny plan? Jak bodaj oswoić wodza z niesłychaną nowością samej rzeczy? Jeżeli on na to nie ma czasu, to po co go tu ściągał?...

Spojrzał na zegarek — pierwsza trzynaście. W tej samej chwili wyświeżony, uśmiechnięty kapitan uchylił zasłony.

— Panie tajny radco, prosimy...

Twarz wodza wydała mu się niemiłą, martwą, odstręczającą, wręcz niespodziewaną, mimo tylu fotografji i portretów, które były w każdym domu niemieckim. Ale ze spojrzenia bladych oczu biła moc władzy, to był człowiek, który umie rozkazywać i narzucać swoją wolę miljonowym masom. Wypowiedział parę uprzejmych słów, ale twarz jego zostawała martwą, była to jakby uprzejmość maszyny.

— Słucham pana, panie tajny radco. Mamy dla siebie całych piętnaście minut.

To odrazu oszołomiło profesora, jednak przemógł się i zaczął, tylko nieco obcym głosem, który dochodził do niego jakby zdaleka. Wyrzucił wstęp, charakterystykę dotychczasowego okresu broni chemicznej, błędy popełnione przez wytwórnie i przez kierownictwo armji... Oznajmił poprostu, że ma nową substancję, której siła niszcząca, jej trwałość w czasie i zasięg w terenie przekracza wszystko, co do tej pory było znane lub przewidywane w tej dziedzinie. Jeżeli stan obecny chemji na usługach wojny porównamy ze starożytną katapultą, ciskającą głazy kamienne, to nowe odkrycie będzie najnowszem działem Kruppa.

— Tak jest, Ekscelencjo, bez przesady. Wiem, co mówię.

I profesor zamilkł wymownie, czekając efektu. Ale nic nie drgnęło w kamiennej twarzy wodza.

— Słucham pana.

— W poszukiwaniach moich idę dalej i dochodzę niemal do substancji nierównie potężniejszej, której samo zademonstrowanie na drobnym odcinku frontu wystarczy, aby nieprzyjaciel złożył broń i przyjął nasze warunki kapitulacji. Ale i to, co mam gotowe, wystarczy. Potrzeba mi około trzech miesięcy czasu na zorganizowanie produkcji masowej i na pierwsze zaopatrzenie frontu, pod warunkiem, że niezwłocznie rozpocznie się intensywne szkolenie materjału instruktorskiego, a następnie masy żołnierskiej. W tym celu zażądałbym nadzwyczajnych uprawnień nad całą zmilitaryzowaną produkcją chemiczną kraju oraz kredytów w wysokości dwudziestu miljonów na pierwszy miesiąc. Na następny oczekiwałbym sumy podwójnej.

Te cyfry sprawiły pewne wrażenie. Koniuszczki rudawych podkręconych wąsów uniosły się nieco ku górze — miał to być uśmiech. Wielka obrzękła twarz tajnego radcy odrazu napłynęła krwią, a gdy przemówił, usta mu drgały.

— Ekscelencjo, sądzę, że zasługuję na zaufanie...

Nie doczekawszy się potwierdzenia, mówił dalej.

— Jeżeli idzie o sprawdzian objektywny, o dokonanie prób, to oczywiście nic nie staje na przeszkodzie tej konieczności. Prosiłbym tylko, ażeby odnośne zarządzenia wydane zostały niezwłocznie i ażeby odnośna komisja składała się z ekspertów kompetentnych.

— To znaczy?

— Albowiem, Ekscelencjo, zbyt gorzkie mam pod tym względem doświadczenie z ubiegłych trzech lat. Przez ignorancję i biurokratyzm odnośnych sfer wojskowych zaprzepaszczono cały szereg projektów niezmiernie wybitnych. Doprawdy inaczej wyglądalibyśmy o tej porze, gdyby...

— Panie tajny radco, dziękuję panu w imieniu armji za pańskie tak wydatne prace dla obrony ojczyzny i doprawdy miło mi było pana spotkać osobiście. Co do tak daleko idących propozycji pańskich, to oczywiście są one ponad wszelki podziw, ale w obecnym stanie rzeczy obejdziemy się bez środków nadzwyczajnych. Mamy w ręku taran ofensywny o mocy rozpędu nieznanej w dziejach. Mamy kolosalne zaopatrzenie techniczne, niebywałe jeszcze w tej wojnie, a co do amunicji artyleryjskiej, to czterdzieści pięć pocisków na sto, są to pociski gazowe, to chyba dosyć dla honoru broni chemicznej, panie tajny radco? A dalej mamy nowe metody walki, które zaskoczą nieprzyjaciela. Słowem — spodziewam się niebawem zakończyć grę. Dziękuję panu jeszcze raz.

Wódz powstał i z powagą wyciągnął rękę na pożegnanie. Adjutant, uśmiechnięty kapitan, ukazał się na progu.

— Heinrich, dawaj mi tu na początek dowódców korpusów siódmej Armji...

* *

Północ biła kolejno, zwolna, uroczyście na zegarach miasta Mannheimu, gdy doktór Ossian Helm oderwał się od swej nocnej pracy. Na rokokowem biureczku, twarzą w twarz z gipsowem, pobronzowanem popiersiem wielkiego Marszałka Hindenburga, pod portretami pary cesarskiej pisał swój raport z pierwszego miesiąca drobnym maczkiem na najcieńszym papierze, pokrajanym w wąziutkie paseczki. Bez trudu i zachodu zebrał w ciągu tych kilku tygodni olbrzymi materjał, gdyż dla obznajomienia się nowego pracownika „Wagerowskiego piekła" z dotychczasowym stanem broni chemicznej otwarto mu naoścież laboratorja, bibljotekę wydawnictw poufnych i tajne archiwum prób i poszukiwań. Codziennie zwiedzał różne oddziały „Badische", konferował z kolegami, zaglądał do laboratorjum doświadczalnego wytwórni masek. W układzie swego raportu starał się być objektywnym, ale mimowoli wpadał w ton alarmujący.

Potęga niemieckiego przemysłu chemicznego była przerażająca. Od ujmującej dobrodusznej postaci profesora Wagera biła groza — ten człowiek miał w zapasie tajemnicę, której nie znał nikt z braci chemicznej Ludwigshafen. Szeptano o niej, puszczano się na ryzykowne domysły, plotkowano, blagowano. A gdy w owym czasie ukazał się w pismach ów fenomenalny wywiad z Cesarzem, który zatrwożył cały świat, w Wagershölle wszyscy byli najpewniejsi, że mowa tu o tajemnicy profesora.

— Niechże Bóg nie dopuści, abyśmy w kolejach wojny byli zmuszeni przez nieprzyjaciela uciec się do nowej broni, która jest w naszem ręku, a przed którą wzdryga się nasza myśl... Tak mówił Cesarz.

Ów straszliwy „Żółty Krzyż", który szerzył spustoszenie i panikę na froncie, a z którym wiedza i przemysł Francji, Anglji i Stanów Zjednoczonych nie mogły sobie poradzić, był z łatwością odrazu odkryty. Po to został wysłany tak zwany doktór Ossian Helm i jeżeli te skrawki papieru dojdą do celu, zadanie jego będzie spełnione. Może wracać do Francji po nagrodę za swoje trudy i poświęcenie — instrukcja była jasna i wyraźna. Poza tem przesyła formuły i ścisły opis produkcji dwuch jeszcze morderczych nowalji niemieckich — Zielonego Krzyża, Błękitnego Krzyża. Chyba dość? Jakąż nagrodę wymyśleć można za podobne czyny?

(D. c. n.).

CLAUDE ANET

M A Y E R L I N G

15)

— Więc tu sypia Wasza Wysokość — odezwała się Marja. — O! wyobraźni młodych dziewcząt! Wyobrażałam sobie olbrzymią komnatę ze wspaniałem łożem pośrodku! Z łożem książęcem! paradnem!

Arcyksiążę roześmiał się.

— Nie myli się pani. Istnieje taki pokój i takie łoże, lecz wolę sto razy ten pokój bez komfortu, w którym mieszkam sam od przeszło roku.

Marja zbliżyła się do zwierciadła. Rudolf szedł za nią krok w krok.

— Będę miała kosmyki — zmartwiła się Marja — nie spodobam się Waszej Wysokości.

Zdjęła kapelusz. Ukazała się masa czarnych włosów o granatowym odcieniu. Były upięte w węzeł na karku.

Rozpięła okrycie. Podszedł do niej, ażeby je zdjąć; dotykał jej zlekka od ramion po kolana. Zwierciadło odsyłało im ich odbicie; oczy Rudolfa płonęły; jasne oczy Marji uśmiechały się. Czytał w spojrzeniu tego dziecka, które trzymał nieomal w swoich ramionach, ufność i niewinną radość. Niczego się nie lękała; nie uczyniłby jej nic złego...

W tym momencie oparła się leciutko o arcyksięcia ruchem tak czystym, iż zadrżał i rysy twarzy skrzywiły się boleśnie. Toczyła się w nim krótka walka. Odsunął się gwałtownie, cofając o kilka kroków.

Marja spoglądała na niego bardzo zaniepokojona. Podbiegła do Rudolfa:

— Co się stało? Czy boli...

— Dostałem nagle bólu głowy... ale to bez znaczenia... głupstwo... Już wszystko przeszło. Było to z pani winy.

Uśmiechał się. Jego ton uspokoił Marję. Przechadzał się jeszcze chwilę po pokoju, wrócił żywo do Marji, chwycił jej obie dłonie i spoglądając głęboko w oczy młodej dziewczyny, zapytał:

— Często pani robi te cuda?

Marja, zaskoczona tem pytaniem, nie wiedziała co odpowiedzieć. Milczała. Lecz twarz Rudolfa była radosna, ożywiona, jakby innego człowieka.

Zaciągnął ją do salonu, usadowił na kanapie, podał jej szklaneczkę porta i usiadł u jej stóp.

Teraz on mówił, o wszystkiem i o niczem, z werwą, która oczarowała Marję. Stał się młodszy, zmarszczka przecinająca czoło zniknęła.

Nagle urwał i rzekł:

— Czy nie ma pani żadnej prośby do mnie?

Marja spojrzała na niego, zdumiona.

— Tak jest — podjął następca tronu — wszyscy ludzie, zbliżający się do mnie, chcą czegoś ode mnie: jedni — stanowiska, drudzy — awansu, jeszcze inni — orderów, a są i tacy, co chcą poprostu pieniędzy. To też pragnąłbym wiedzieć, czego pragnie odemnie najbardziej urocza kobieta, jaka mnie odwiedziła w mojem życiu.

— Ależ nic nie chcę! — odpowiedziała Marja. — Czy nie mam dziś wszystkiego, o czem marzyłam?

— A więc ja myślałem o pani.

Podszedł do biurka, otworzył szufladę i wrócił do Marji z małem pudełkiem w ręce. Wręczył je Marji.

Marja, zaskoczona tem, spoglądała kolejno to na pudełeczko, to na arcyksięcia.

— Proszę otworzyć! Nie jest pani ciekawa?

Otworzyła pudełeczko.

— Ach! jaki piękny pierścionek! — zawołała — szafir i djament, ależ nie mogę go przyjąć...

Zmieszana myślą, iż Rudolf nie zrozumiałby jej uczuć, dodała:

— Chciałabym go zatrzymać, ale gdyby mamusia zobaczyła ten pierścionek!...

— Zanim pani odmówi przyjęcia, proszę spojrzeć, co jest napisane na obrączce — odpowiedział Rudolf.

Marja wzięła pierścionek i przeczytała.

„Dwunastego kwietnia, 1888-ego roku".

— Czy to możliwe? — zawołała żywo, podnosząc wzrok na Rudolfa. — Nie mogę uwierzyć...

— Nietylko pani ma pamięć do dat.

— Ach! jestem zbyt szczęśliwa — ciągnęła Marja, ściskając rękę arcyksięcia — pierścionek ten będę kładła co wieczór, w moim pokoju, gdy będę się modlić za pana, i całą noc będę widziała pana we śnie...

Głaskała łagodnie arcyksięcia, siedzącego u jej stóp, przerywając swoje pieszczoty czułemi słówkami.

„Mój ukochany! Taki miły, taki dobry! Kocham!"

W tej chwili rozległo się ciche stukanie do drzwi, prowadzących do salonu.

Rudolf zerwał się.

— To mój czujny pies, daje mi znak. Musimy, rozstać się niestety. Muszę się udać na oficjalne śniadanie... Dobrze Loschku — zawołał — słyszę cię.

Zwrócił się do Marji.

— Co powiedzieć? Była tu u mnie w odwiedzinach wróżka, dobra wróżka, o której marzyłem, będąc małym chłopcem. Była piękna i słodka, jak pani. Dotykała nieszczęśliwego zaczarowaną laseczką, a on zapominał natychmiast o swoich cierpieniach.

Pomagał Marji zapinać futro.

— Od chwili, gdy pani zjawiła się, atmosfera tego pokoju nie jest ta sama. Czy jesteśmy jeszcze w Hofburgu? Nie mam żadnych trosk, nie czuję się już nieszczęśliwy.

Po raz drugi powtarzał to słowo, kładąc na nie mimowoli nacisk o dramatycznem brzmieniu. Marja zadrżała. Wyraz twarzy Rudolfa zmienił się. Był blady, skrzywiony, w oczach czaił się lęk.

— Odchodzisz, doprawdy odchodzisz! — jęknął złamanym głosem — przyrzeknij mi, że wrócisz... że wrócisz przez litość...

Słowa te były nieoczekiwane zarówno dla niej, jak i dla niego. Zadrżał. Na chwilę przestał panować nad sobą. Objął Marję uściskiem i oparł głowę o ramię młodej dziewczyny. Czuła na swojej szyi nierówny oddech arcyksięcia.

— Nie zostawiaj mnie samego — szepnął — nie wiesz wcale, jak bardzo mi jesteś potrzebna.

Jego głos niemal łkający drżał pokorą i błagalną prośbą. Czy to następca tronu, dziedzic olbrzymiego cesarstwa, przemawiał w ten sposób do siedemnastoletniego dziewczęcia?

Serce Marji wzruszyło się. Łzy napłynęły jej do oczu.

— Do ciebie należę, ukochany, do ciebie na zawsze — rzekła. — Uczyń ze mną, co chcesz.

Już Rudolf opanował się. Głosem bezdźwięcznym, zawstydzony swoją słabością, przemówił:

— Jadę jutro do Budapesztu, i zabawię tam pięć dni. Następnie odbędzie się polowanie pod Wiedniem, w Mayerlingu, na którem muszę być obecny. Lecz z końcem tygodnia będę tu. Musimy się wtedy zobaczyć, proszę o to gorąco. Kuzynka moja pani Larisch urządzi to... Teraz Loschek odprowadzi panią do niej. Trzeba wracać do orki.

Mówił to tonem człowieka, nie mającego chwili czasu, którego życie popycha naprzód i potrąca. Otworzył drzwi do salonu. Loschek stał przed niemi.

CZĘŚĆ TRZECIA

I.

NIEBEZPIECZNE GŁOSY

Z chaosu wrażeń i uczuć, które Marja wyniosła w tym dniu, najsilniejszem pozostało wspomnienie ostatnich minut spędzonych w towarzystwie arcyksięcia. Scena ta prześladowała ją przez dłuższy czas; w uszach brzmiał błagalny głos, czuła na szyi przyspieszony oddech Rudolfa.

A więc nie był szczęśliwy! Wiedziała to zgóry. Nie wyobrażała sobie jednak, ażeby jego przygnębienie i niedola były wielkie. I oto potrzebował jej! Była mu konieczna, ona Marja Vetsera, z którą rozmawiał po raz pierwszy w życiu! Jak w to uwierzyć? I jak wątpić? Była zdala od niego i on cierpiał! Rozpacz i radość. Płonęła tęsknotą za nim. Otoczyć go ramionami. Czyniła sobie wyrzuty, że nie była dość czuła dla niego, że nie potrafiła pocieszyć go. Biedne słowa, które mówiła do niego, wydawały się jej niedostateczne:

„Co pomyśli o mnie? — powtarzała sobie — czy będzie sądził, że jestem obojętna i niewrażliwa?"

Lecz powiew szczęścia przepędzał te niepokoje tak, jak wicher przepędza chmury. Wszystko znikało wobec oszałamiającej pewności:

„Kocha mnie! Co więcej powiedzieć".

Być kochaną przez Rudolfa! Czy w najśmielszych snach marzyła o takim cudzie? Przed miesiącem jeszcze, przed ośmiu dniami ukazywał się z daleka, z tak bardzo daleka... I oto wczoraj klęczał u jej stóp, gładziła go ręką, a on płakał niemal, przytulony do jej ramion. Było to możliwe... Nie prosił jej o nic... Lecz czuła, że może dlatego właśnie była bliższą jego sercu, że odniosła wielkie zwycięstwo.

Inne kobiety przychodziły już w tajemnicy do tego mieszkania. Czy do wielu z nich przemawiał w ten sposób, co do niej, w chwili rozstania? Ależ nie! Tego była pewna, z tego była dumna! Panowała nad cząstką Rudolfa, nad tą najlepszą i tu nie spotkała i nigdy nie spotka żadnej rywalki.

Lecz miłość nie zna spokoju. Wszystko dzieliło ją od arcyksięcia. Jak spotkać go?

Dni i noce trawiła ją jedna myśl: znaleść sposób, by ujrzeć go ponownie. Nigdzie nie wychodziła sama. Towarzyszyła jej matka, nie powierzając nawet pokojowej. Ufała jedynie hrabinie Larisch. I Marja, oczywiście, uważała ją za doskonałość. Niestety, kuzynka następcy tronu miała swoje troski i zajęcia, miała męża, zamek daleko od Wiednia. Nie mogła być codziennie na usługi Marji. Czy wolno było, korzystając z nieobecności matki i siostry w domu, wychodzić samej i uzależnić się od dyskrecji kogoś ze służby? Gdyby ją zadenuncjowano przed baronową, los Marji stałby się mało godnym pozazdroszczenia: w najlepszym razie, opuściłaby Wiedeń; w najgorszym — oddanoby ją do klasztoru, dopóki nie znalezionoby jej męża.

Jej stara piastunka nie mogła być w niczem pomocną. Mogła najwyżej wysyłać listy Marji do Rudolfa, lub przejmować korespondencję arcyksięcia dla swojej wychowanki. Lecz na razie i to było wykluczone. W gorączce pierwszego spotkania zapomniała Marja omówić tę kwestję z Rudolfem. Trzeba będzie pamiętać o tem następnym razem.

Następnym razem — kiedy zobaczy go znowu? Żaden tydzień w życiu Marji nie trwał również długo! Ponieważ następca tronu bawił w Budzie, hrabina Larisch Wallerse wróciła na jakiś czas do swoich dóbr, i zamierzała zawitać do Wiednia jednocześnie z kuzynem. Nie było nikogo, komu mogłaby się zwierzyć.

Po odwiedzinach w apartamentach następcy tronu Marja przyrzekła sobie nie wspominać o arcyksięciu swojej starej powiernicy wszelkich zmartwień i radości. Tym razem sprawa była zbyt poważna. Nikt, nawet kochana niania, nie powinien był być wtajemniczony w to, co robiła... Lecz zarówno radość, jak i troska, znoszą z trudem milczenie. Zaledwie minęły dwie doby samotności, a już Marja otworzyła swoje przepełnione serce przed starą piastunką.

Marja wyjęła z pudełka cenny pierścień i pokazała go niańce. Tym razem, staruszka, tak pobłażliwa dla swojego dziecka, zatrwożyła się. Strach otworzył jej usta, i dał siłę powiedzenia Marji wszystkiego, co myśli o tem. Pokazała jej przepaść, nad którą stała.

— Dokąd idziesz, moje dziecko? — biadała. — Do swojego nieszczęścia. Nie może wyniknąć z tego nic dobrego dla ciebie... Wiesz, że nasi arcyksiążęta są psuci. Zrywają po drodze piękny kwiatuszek, a następnie rzucają go. A potem zrywają inny! Czy spodziewasz się lepszego losu?... Nie ożeni się z tobą; lecz ty masz zbyt wiele serca, dziecko moje, cierpieć będziesz...

Ujęła rękę Marji i złożyła na niej pocałunek. Marja wiedziała, że zrobiła jej przykrość, lecz było jej zbyt lekko na sercu, ażeby poddać się smutkowi. Roześmiała się i szepnęła starej piastunce na ucho:

— Nie znasz go nianiu. Gdybyś miała dwadzieścia lat...

Nareszcie, w piątek hrabina Larisch Wallersee zjawiła się u baronowej Vetsery. Następca tronu był już w Wiedniu od poprzedniego wieczoru, o czem Marja wiedziała. Ale czy mógłby, czy chciałby widzieć się z nią w sobotę? Jedno słowo hrabiny Larisch uspokoiło ją natychmiast. Kuzynka Rudolfa poprosiła panią Vetserę, ażeby powierzyła jej córkę na sobotnie popołudnie:

— To dziecko jest tak wesołe — mówiła — nie mam nikogo, kto by mi towarzyszył przy załatwianiu sprawunków. Odprowadzę ją wcześnie.

Tym razem, pani Vetsera dała się prosić, nie dlatego, by jakikolwiek cień podejrzenia padł na rolę, jaką odgrywała przyjaciółka jej, ale sama miała ochotę wyjść z Marją. Ponieważ jednak była dobrą kobietą, ustąpiła wkońcu. Miały się spotkać o piątej, na podwieczorku w Grand Hotelu...

. . . .

(D. c. n.).